

Grzegorz Przebinda*

Proces utalentowanej poetki i obrończyni praw człowieka rozpoczął się w Moskwie 7 lipca 1970 r. przed południem i trwał bez przerwy do północy. Ostatecznie sąd postanowił, że Natalia Gorbaniewska w „stanie bezobjawowej niepoczytalności” popełniła czyny podпадаjące pod artykuły 190 i 191 kk Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej i zostanie umieszczona w specjalnym szpitalu psychiatrycznym. Okresu trwania „leczenia” nie orzeczono.

Mijało już wtedy prawie dwa lata od słynnej na cały ówczesny świat demonstracji z 25 sierpnia 1968 r. na pl. Czerwonym w Moskwie. Ten publiczny protest w samym sercu ZSRR był zorganizowany w konspiracji przez ósemkę kobiet i mężczyzn - Rosjan i Żydów radzieckich - przeciw inwazji wojsk Układu Warszawskiego, w tym i naszych, peerelowskich, na Czechosłowację.

Ta z Alexandrem Dubčekiem na czele dążyła do częściowego choć wyzwolenia z „bratnich kleszczy” Breżniewa. Gorbaniewska przyszła na plac z trzymiesięcznym synem Oską w wózku. W 1970 r. zdążyła go ochrzcić na tydzień przed procesem, śledzona jeszcze pod cerkwią przez „dużych i brzuchatych”, jak potem pisała, kagiebiów w woldze.

W sierpniu 1968 r. Gorbaniewska dotarła pod Kreml z ukrytą pod materacykiem syna czechosłowacką chorągiewką i dwoma plakatami, z inskrypcją po czesku na jednym: „At' žije svobodně a nezávisle Československo!”.

Demonstracja ośmiu wspaniałych, rozwijana w takt wybijających 12. w południe kremlofskich kurantów na Wieży Spasskiej, trwała góra dwie minuty. W jednej bowiem chwili szajka po cywilnemu - mężczyźni plus jedna kobieta - potargała plakaty demonstrantów i połamała z wściekłością chorągiewkę w rękę kruchej Gorbaniewskiej.

Wybili cztery zęby Wiktorowi Fajnbergowi, demonstrującemu w grupie filologowi angielskie, historykowi sztuki i ślusarzowi w jednej osobie. Zarazem zachęcali do ataku zebranych widzów: „To wszystko gwałtaj! Bij antysowietczyków!”.

Po następnych minutach podjechało auto, potem kolejne - najpierw zapakowali i wywieźli z placu siódmą demonstrantów, a potem osobną wołgą Gorbaniewską z dzieckiem, tyle że bez wózka. Zdążyła jeszcze odkreślić od wewnątrz szybę w aucie i krzyknąć: „Niech żyje wolna Czechosłowacja!”. Natychmiast oberwała po twarzy od towarzyski na tylnym siedzeniu.

Już wieczorem tamtej słonecznej sierpniowej niedzieli rozeszła się po Moskwie wieść, że na placu demonstrowała „Czeszka z dzieckiem”. Tym bardziej że na dwóch kolejnych plakatach widniało: „Hańba okupantom” i „Łapy precz od CSRS” [Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej].

Jednak ci, co mówili „Czeszka”, nie wiedzieli pewnie, że Natasza przygotowała także drugi plakat, ten z napisem po rosyjsku, ale w kontekście wręcz arcy-polskim: „Za wolność waszą i naszą” (w takiej nie-tradycyjnej dla nas kolejności). Potem w „Dwunastej w południe” - przygotowanej przez nią pracownice samizdatowej, a wkrótce i wydanej za granicą (1970) dokumentalnej kronice o demonstracji i sądzie nad jej uczestnikami - objaśniała to tak:

„Dla mnie, od wielu lat zakochanej w Polsce, przez te dni szczególnie nie do zniesienia było to, że razem z naszymi wojskami na terytorium Czechosłowacji weszli także żołnierze Wojska Polskiego, żołnierze kraju, który przez tyle lat walczył o wolność i niezawisłość przeciwko wielkomocarstwowym ciemiężcom - przede wszystkim przeciwko Rosji. (...) »Za wolność waszą i naszą« - to hasło polskich powstańców, którzy walczyli o wyzwolenie swojej ojczyzny, i polskich emigrantów, ginących na całym świecie w imię wolności innych narodów. To hasło zesłowiecnych rosyjskich demokratów, którzy zrozumieli, iż nie może być wolny naród, który gnębi inne narody” (przekład Anity Tyszkowskiej i Tadeusza Goska).

Sierpniowego najazdu na Czechosłowację dokonało w 1968 r. całe 500 tys. wielonarodowego komunistycznego wojska z: ZSRR, Polski (25 tys.), Bułgarii, NRD i Węgier. Gustaw Herling-Grudziński napisał wtedy tekst „Pół miliona żołnierzy przeciwko 2000 słów” nawiązujący do głośnego manifestu Ludvíka Vaculíka, który stał się manifestem Praskiej Wiosny.

11. rocznica śmierci Natalii Gorbaniewskiej

Jak żołnierz, co się bił w Andersa armii

Z placu Czerwonego wywozili ich autami. Ją, z dzieckiem, osobno. Zdążyła jeszcze krzyknąć przez okno: „Niech żyje wolna Czechosłowacja!”. Dostała po twarzy

Piątka spośród ośmiu wspaniałych w Moskwie, którzy wyszli na plac w proteście przeciwko owym 500 tysiącom najeźdźców, zapłaciła za zuchwałość wieloletnim pobytom w łagrach. Byli to: lingwista (znawca niemieckiego) Konstantin Babicki (1929-93) i językoznawczyni (polonistka) Łarisa Bogoraz-Burchman (1929-2004), poeta Wadim Delaunay (1947-83), elektryk i relegowany wcześniej student Władimir Driemługa (1940-2015), fizyk Paweł Litwinow (ur. w 1940 r.).

Do więzień psychiatrycznych zaś trafili znani nam już Fajnberg (1931-2023) i Gorbaniewska (1936-2013). Do dziś prócz Litwinowa żyje jeszcze w Ameryce i ta ósma uczestniczka demonstracji - Tatiana Bajewa. Miała w sierpniu 1968 r. dopiero 21 lat i była jeszcze studentką. Uniknęła szczęśliwie łagru po tym, jak w porozumieniu z innymi oznajmiła w śledztwie, że na pl. Czerwonym znalazła się przez zbieg okoliczności. Ale dodajmy, że w momencie kulminacyjnym kucnęła i wycierała chusteczką pokiereszowaną, ociekającą krwią twarz Fajnberga.

Gorbaniewska na swym odrębnym, najpóźniejszym ze wszystkich procesie fizycznie obecna nie była. Specjalny bowiem zespół „ekspertów” z moskiewskiego Instytutu Psychiatrii Sądowej im. Serbskiego zawczasu ją „przebadał”, formułując „diagnozę”, że „cierpi na chroniczną chorobę umysłową - schizofrenię, i jako niepoczytalna wymaga skierowania na przymusowe leczenie w specjalnym szpitalu psychiatrycznym”.

W moskiewskim pseudosądzie znajdował się za to właśnie jako jeden z owych „ekspertów” mrocznej sławy prof. Łunc, o którym Władimir Bukowski (tak

samo jak Gorbaniewska dysydent i „wariat”) pisał w głośnej książce „I powraca wiatr...”: „Wszchemocny Łunc, który zapędził do domów wariatów z rozkazu KGB niejedną tysiąc zdrowych ludzi”.

Gorbaniewskiej broniła dzielnie i profesjonalnie adwokatka Sofia Kallistratowa, podnosząc, że postępowanie obwinionej - skądinąd poetki i tłumaczki - wymagałoby jednak dodatkowej kompleksowej ekspertyzy. Wszak jej oryginalne wiersze i przekłady z polskiego (głównie dwa tomy „Historii estetyki” Tatariewiczza, już złożone w wydawnictwie!) o patologicznych zmianach osobowości bynajmniej nie świadczą.

Kallistratowa domagała się zarazem, aby do akt dołączyć spis wszystkich dotąd opublikowanych utworów Gorbaniewskiej wraz z opinią o jej twórczości sformułowaną na piśmie, na prośbę adwokatki, przez innego utalentowanego poetę - Borisa Sluckiego.

Sąd jednak konsekwentnie podobne postulaty obrony odrzucał, sędzia nie zgodził się nawet, by na salę rozpraw Gorbaniewską doprowadzić osobiście. Motywował to znowu „ekspertyzą” zlotoustego Łunca: „Na prośbę przewodniczącego sądu ekspert ogłasza, że jego orzeczenie nie dopuszcza doprowadzenia psychicznie chorego człowieka do sali sądowej, ponieważ człowiek ów jest nie tylko obiektem procesu, ale i chorym, o którego winni zatroszczyć się lekarze”.

Gdy obrona domagała się uparcie odpowiedzi, jakie konkretne zmiany w osobowości przeszkadzają osobistemu uczestnictwu Gorbaniewskiej w procesie, niestropiony Łunc wydeklamował, że „jest to schizofrenia bezobjawowa” (!), która „przebiega z zachowaniem szczytowych zdolności do pracy oraz wcześniejszego intelektualnego poziomu i nawyków”.

„Nawyki” owe zrodziły się u Natalii Gorbaniewskiej w Moskwie w bardzo wczesnym dzieciństwie, jeszcze przed napaścią nazistowskich Niemiec na ZSRR. Miała cztery lata, ale już potrafiła czytać, co jednak większej radości rodzinie nie sprawiło:

„Wszyscy straszili mamę (...). No bo gdy dziecko tak wcześnie czyta, to może zwariować - tak wtedy powszechnie sądzono. Odbierali mi te książki, a ja wyciągałam je z powrotem, chowałam się do szafy... Gdy jednak zaczęła się wojna, wszyscy machnęli ręką, a mama powiedziała: »Jak czyta, jeść nie woła...«”.

Mama Natalii Jewgienija pracowała w różnych bibliotekach, знаła angielski, francuski i trochę niemiecki. Sama Natasza opanowała w dzieciństwie

Tzw. eksperci z moskiewskiego Instytutu Psychiatrii Sądowej: Gorbaniewska cierpi na schizofrenię i jako niepoczytalna wymaga skierowania na przymusowe leczenie w specjalnym szpitalu psychiatrycznym



FOT. ANNA BIEDYŃSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

podstawy francuskiego, tak że po przybyciu do Paryża z Moskwy przez Wiedeń na początku 1976 r. nie miała większych kłopotów z językiem w przeciwieństwie do innych wygnańców, z Andriem Siniawskim i Władimirem Maksimowem na czele.

Gdy miałem szczęście poznać ją osobiście w styczniu 1987 r. właśnie w Paryżu podczas nagrywania wywiadu dla krakowskiej podziemnej „Arki”, usłyszałem wspomnienie: „W 1978 albo 1977 r. przyjechał do Paryża Marek Edelman. Popatrzył na mnie i powiedział: »Gorbaniewska, to ty tak wyglądasz, a ja myślałem, żeś duża jak szafa!«. Jak miło - jestem właśnie taka, do szafy niepodobna...”.

Chciałbym to jednak zderzyć z wyznaniem, jakie Natasza poczyniła w nagrany rok-dwa przed śmiercią wywiadzie dla pisarki Linor Goralik. Wspominała tam, że do 1950 r. mieszkała z matką i bratem w moskiewskiej suterenie, właściwie w piwnicznej izbie: „Tylko część okien znajdowała się nad ziemią, daszek (...) ciągle przeciekał. (...) Brat i ja wtedy dorastaliśmy, a ponieważ siedzieliśmy cały czas po ciemku i w wilgoci, to dlatego jesteśmy teraz tacy nieduzi”.

Dopiero w 1950 r. poznała mieszkanie z gazem i światłem, a jako 18-latką (1954) zaczęła czytać ze zrozumieniem Pasternaka, uwielbiała Majakowskiego i Błoka, lubiła Chlebnikowa, cenila Zabolockiego, sięgała do wierszy odkrywanych dopiero w ZSRR przez dojrzejających dysydentów Gumilowa rozstrzelanego w 1921 r. przez bolszewików.

Mówiła jeszcze do Goralik: „Jako 18-latką czytałam Wilde’a, Prousta. Taka byłam »hop do przodu«. Proust w rosyjskich tłumaczeniach to było coś wspaniałego. Tutaj, na emigracji, poczułam, że nie potrafię czytać Prousta po francusku: nie czuję tego zachwyty, w jaki wprawiało mnie tłumaczenie” (przekład Ewangeliny Skalińskiej).

Zamilowanie do prozy i poezji w języku ojczystym, francuskim, polskim i we wszystkich chyba językach słowiańskich przetrwało w Gorbaniewskiej do końca życia. W 1987 r. mówiła:

„W 1969 obchodzono jakiś miesiąc przyjaźni między PRL a ZSRR. Udało mi się wówczas kupić płytę Ewy Demarczyk. Od razu ją polubiłam, ale ponieważ w tym właśnie ’69 mnie posadzono, zaczęłam jej częściej słuchać dopiero później. (...) Wróciłam po odesiedzeniu dwóch lat z hakiem i od nowa zaczęłam słuchać tej płyty Demarczyk.

Książeczkę Baczyńskiego miałam od dawna. Cały czas kupowałam książeczki, była taka polska seria, nazywała się »Poeci polscy«, ty jej nie pamiętasz, byłaś jeszcze wtedy maleńkim chłopczykiem. Ale na

Baczyńskiego jakoś uwagi od razu nie zwróciłam, lecz dopiero kiedy zaczęłam słuchać Demarczyk - »Deszczy« i tego, co się u niej nazywa »Wiersze Baczyńskiego«. Te doceniłam potem, ale »Deszczy«! Odnalazłam wiersz u Baczyńskiego. Szalenie chciałam przełożyć go tak, aby dał się zaśpiewać”.

Zrobiła to w 1973 r., ale już w 1962, uwiedziona historią i kulturą Polski, pisze przejmujący wiersz o żołnierzu z armii Andersa, choć o armii owej i generalnie niewiele jeszcze wtedy wiedziała. Jednak stworzyła utwór, który do dziś - szczególnie w przekładzie Józefa Łobodowskiego opublikowanym w „Kulturze” paryskiej w maju 1969 r. - czyta się jak swój:

„Jak żołnierz, co się bił w Andersa armii./ jak ów żołnierz z bajki Andersena -/ coż ja? Niewielka na me wiersze cena/ i kłamstwem moje słowo się nie karmi.

Nie dla odznaczeń na ten bój wychodzę./ jam nie dowódca i nie szarża żadna -/ zwiadowca, który czolga się przez bagna./ jakże samotny na niepewnej drodze! (...)

Ojczyzno moja! Lecz pilnują sępy./ bym się na polu boju znów nie zjawiał./ abym pozostał źdźbłem bezsilnej trawy./ zawsze miażdżonej przez zbrojne zastępy”.

Już po uwolnieniu, ale jeszcze przed emigracją, w 1973 r., w kontekście powstania warszawskiego i owego najazdu wojsk proletariuzi na czeską Pragę pisała:

„To ja nie ocalałam wtedy Pragi, a wcześniej Warszawy./ nie odkupię swej winy - niegodnych synowie niegodni -/ dom mój pustym się stanie, progi zgniły i mury zmurszały./ niech będzie przeklęty dom zła, dom grzechu, dom kłamstwa, dom zbrodni” (przeł. Adam Pomorski).

Już na początku lat 80. w Paryżu przetłumaczyła kongenialnie na rosyjski „Traktat poetycki” Miłosza z takim fragmentem: „Z przyprawą żartu, błazeństwa, satyry./ Jeszcze się umie podobać poezja./ Jej znakomitość wtedy się docenia./ Ale te walki, gdzie stawką jest życie/ Toczy się w prozie. Nie zawsze tak było”.

Sama Gorbaniewska klasycznej prozy nie pisała, choć stale twierdziła, że jej artykuły - zarówno te literackie i polityczne w paryskiej „Russkiej Mysli” w latach 80., jak i wcześniejsze w obronie praw człowieka w moskiewskiej samizdatowej „Kronice Wydarzeń Bieżących”, a przede wszystkim dokumentalna książka „Dwunasta w południe” - pisane były jej własnym stylem.

A jako tłumaczka pokazała ów styl w prozie przede wszystkim wyborym przekładem „Innego świata” Herlinga opublikowanym w 1989 r. w Londynie, a po raz wtóry w Moskwie w 1991, w dogorywającym już ZSRR.

Z prozy tłumaczyła także m.in.: „Cmentarze” Marka Hłaski, „Cudowną melinę” Kazimierza Orłowskiego, „Cyryl, gdzie jesteś?” i „Dziennik węgierski” Wiktoro Woroszyłskiego, utwory Tadeusza Konwickiego, Jana Pawła II, ale i teksty polskich antyregimowych publicystów i eseistów - Jerzego Giedroycia, Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Józefa Mackiewicza, Jacka Kuronia, Adama Michnika, Ireny Lasoty, Kornela Morawieckiego, Zbigniewa Bujaka, Michała Komara, Stefana Bratkowskiego i Leszka Szarugi.

Ale i tak nade wszystko była poetką, jakby chciała dochować dożgonnej wierności innej jeszcze strofie z „Traktatu poetyckiego”: „Służą, nie trwają, romanse, traktaty./ Bo więcej waży jedna dobra strofa/ Niż ciężar wielu pracowitych stronic”.

Ja sam za najważniejszy w jej twórczości zawsze uważałem wiersz z 23 grudnia 1981 r. powstały jako reakcja na stan wojenny u nas. Oto on w pełnej krasie w przekładzie Stanisława Barańczaka (poetka uważała go nawet za lepszy od oryginału):

„O Panie, Panie, noc i mgła/ na nich opadła./ O Panie, cożes Ty nam dał/ prócz chrypnącego gardła./ które skanduje »Wolna Polska!« -/ i ten krzyk słaby/ przez kordon chce jak kamień posłać/ w drzwi ambasady.

»Siostry i bracia!« - schryple słowa cichną i gasną./ Chyba Pan nazbyt umiłował/ ową nizinę płaską./ chyba Pan nie ma dla nich innej/ formy kochania./ prócz tego, co miał i dla Syna./ ukrzyżowania”.

W połowie lat 60. w Ukrainie odezwało się głośno pokolenie młodych ludzi walczące - już w ostatnim okresie sprawowania władzy przez Chruszczowa i zaraz po jego upadku - o prawa człowieka i o autonomię dla Ukrainy, wtedy jeszcze rzecz jasna językowo i kulturową.

W latach 1965-66 przeszła fala politycznych aresztowań, do łagrów trafiło kilkudziesięciu młodych Ukraińców. 4 września 1965 r. w kijowskim kinie Ukraina odbyła się premiera filmu „Cienie zapomnianych przodków” według powieści Mychajły Kociubynskiego, „huculskiej wersji historii o Romeo i Julii”, jak pisze dziś celnie historyk Jarosław Hrycak.

Tuż przed pokazem wystąpił młody krytyk literacki Iwan Dziuba i wspomniawszy o grupie aresztowanych właśnie w Ukrainie jego rówieśników. Gdy jednak rozpoczął wyczytywanie ich nazwisk, zawyla syrena strażacka. Pisz Hrycak:

„Wtedy Wiczesław Czornowil, młody dziennikarz, przekrzykując syrenę, zawołał: »Kto przeciwko tyranii, niech wstanie!«. Podniosła się jedna trzecia obecnych. Wyświetlono film. W przerwie projekcji Wasyl Stus, doktorant kijowskiego Instytutu Literatury, ponownie zwrócił się do oglądających: »Protestować powinni wszyscy: dziś łapią Ukraińców, jutro zaczną łapać Żydów, potem Rosjan«. Do protestujących przyłączył się reżyser Siergiej Paradżanow - Ormianin, który mieszkał w Kijowie” (przekład Katarzyny Kotyńskiej i Joanny Majewskiej-Grabowskiej).

Słowa Stusa okazały się prorocze: 8 i 12 września 1965 r. zostali kolejno aresztowani w Moskwie dwaj pisarze, rosyjscy Żydzi - Andriej Siniawski i Julij Daniel. W lutym następnego roku skazano ich w głośnym na cały świat procesie na siedem i pięć lat łagru.

Ich winą miało być to, że w latach 1959-65 publikowali swoje utwory na Zachodzie (na samym początku u Giedroycia w paryskim Instytucie Literackim, znamiennie, że po rosyjsku). W dodatku ukryci pod pseudonimami - Siniawski jako Abram Terc, Daniel jako Nikołaj Arszak. A warto dodać, że władza radziecka już wcześniej, jeszcze za późnego Chruszczowa, aresztowała w Moskwie i Leningradzie pisarzy i opozycjonistów, zupełnie nie bacząc na ich narodowość.

Byli to zatem Rosjanie, w tym i późniejszy nacjonaliści - jak Władimir Osipow (aresztowany w 1961 r.), rosyjscy Żydzi Aleksander Ginzburg i Eduard Kuzniecowa (w 1960 i 1961), Ukraińcy, wcześniej nawet w służbie w Armii Radzieckiej, jak generał Petro Hryhorenko, zdegradowany w 1964 r. do stopnia szeregowca i umieszczony w szpitalu psychiatrycznym w Leningradzie.

A nie zapominajmy i o bardzo młodym wówczas poecie Josifie Brodskim (ur. w 1940 r.), skazanym w lutym-marcu 1964 r. w Leningradzie za „pasożytnictwo” i trzymany na zesłaniu w obwodzie archangielskim przez 18 miesięcy. ●

Dokończenie za tydzień



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Grzegorz Przebinda

ur. w 1959 r., ruscysta i historyk idei, profesor UJ. W 2023 r. ukazał się w Znak jego dziennik pierwszego roku wojny Rosji przeciwko Ukrainie - „Ostatnia wojna Putina. Rozprawa filologicznie o Rosji”.

Tytuł tekstu - „Wyborcza”.